

3

– ...Wszelka idealizacja czyni życie uboższym. Upiększać je znaczy odbierać mu złożoność, zniszczyć. Pozostaw takie rzeczy moralistom, mój chłopcze. Historię tworzą ludzie, ale nie w swoich głowach. Idee, które rodzą się w ich świadomości, nie odgrywają zbyt istotnej roli w biegu zdarzeń. Historia jest zdominowana i określona przez narzędzia i produkcję, czyli siłę warunków gospodarczych. Z kapitalizmu zrodził się socjalizm, a za anarchizm odpowiedzialne są prawa stworzone przez kapitalizm dla ochrony własności prywatnej. Nikt nie jest w stanie stwierdzić, jaką postać może w przyszłości przybrać struktura społeczna. Po co więc pozwalać sobie na prorocze fantazje? W najlepszym wypadku okażą się pomocne w interpretacji myśli proroka, lecz nie mogą mieć wartości obiektywnej. Takie zabawy, mój chłopcze, zostaw moralistom.

Michaelis, apostoł na zwolnieniu warunkowym, przemawiał jednostajnie, głosem tak rzęzącym, jakby tłumiała go i krępowała warstwa tłuszczu na piersi. Wyszedł z więzienia, w którym panowały pierwszorzędne warunki sanitarne, okrągły jak ceber, z wielkim brzuszyskiem i rozdętymi policzkami o bladej, na poły przezroczystej cerze, ponieważ śludzy wzburzonego społeczeństwa uwzięli się, by przez piętnaście lat faszerować go tuczającym pożywieniem w wilgotnej i pozbawionej oświetlenia piwnicy. Od wyjścia na wolność nie udało mu się stracić na wadze nawet jednej uncji.

Podobno przez trzy sezony z rzędu pewna bardzo zamożna stara dama wysyłała go na kurację do Marienbadu, gdzie raz przyszło mu nawet dzielić zainteresowanie publiczne z pewną koronowaną głową, wtedy jednak policja kazała Michaelisowi opuścić miasto w ciągu dwunastu godzin i przysporzyła dawnemu więźniowi dodatkowych mąk, zabraniając mu dostępu do wód leczniczych. Obecnie był rewolucjonistą w stanie spoczynku.

Wydawało się, że jego przełożona przez oparcie krzesła, zgięta w łokciu ręka nie ma stawu; przypominała skrzywione ramię lalki. Pochylił się nieco naprzód ponad swoimi krótkimi i ogromnymi udami, by splunąć do kominka.

– Tak! Miałem czas zastanowić się trochę nad różnymi sprawami – dodał bez emfazy. – Społeczeństwo dało mi mnóstwo wolnego na rozmyślenia.

Z drugiej strony kominka, w fotelu wypchanym końskim włosiem, gdzie zwykle miała przywilej zasiadać matka pani Verloc, chichotał ponuro Karl Yundt, przywoławszy na bezzębne usta słaby, mroczny grymas. Terrorysta numer jeden, jak sam siebie nazywał, był leciwy i łysy, a z jego podbródka zwieszał się cienki, bieluteński jak śnieg kosmyk koziego zarostu. W już przygaszonych oczach starca wciąż tlił się niezwykle wyraz podstępnej złośliwości. Wstawanie sprawiało mu widomy ból, a wyciągnięta naprzód, jakby szukająca czegoś po omacku ręka Yundta, zdeformowana przez podagryczne obrzmienia, przywodziła na myśl wysiłki konającego mordercy, który zbiera pozostałe mu siły, by zadać ostatni cios nożem. Wsparł się na grubej lasce, a ta zadrżała pod jego drugą ręką.

– Zawsze marzyłem – zadeklarował podniośle i drapieżnie – o zespole jednostek bezwzględnie zdecydowanych odrzucić wszelkie skrupuły w wyborze metod działania oraz dość silnych, by mogli szczerze nadać sobie miano niszczycieli i ludzi wolnych od skazy zrezygnowanego pesymizmu, który toczy

ten świat. Zero litości dla niczego i nikogo na ziemi, nawet dla nich samych, i śmierć na zawsze zwerbowaną w służbę ludzkości... To właśnie chciałbym zobaczyć.

Jego mała łysa głowa trzęsła się, wprawiając kosmyk siwej bródki w śmieszne vibracje. Dla kogoś obcego wymowa Yundta byłaby zupełnie niezrozumiała. Wypalonej namiętności terrorysty numer jeden, przypominającej w bezpłodnej furii podniecenie starego lubieżnika, źle się przysługiwały wyschnięte gardło i bezzębne dziąsła, o które zdawał się zawadzać koniuszek języka. Pan Verloc, usadowiony w rogu kanapy, która stała po przeciwnej stronie pokoju, wydał dwa serdeczne stęknienia aprobaty.

Stary terrorysta powoli pokręcił głową, wieńczącą chudą szyję.

– A nigdy nie udało mi się zebrać więcej niż trzech takich ludzi. Oto, ile jest wart twój zgniły pesymizm – warknął na Michaelisa, który rozprostował skrzyżowane nogi, wyglądające jak wałki kanapowe, i na znak zniecierpliwienia gwałtownym ruchem wsunął stopy pod krzesło.

On pesymistą! Nonsens! Michaelis wykrzyknął, że to oburzające oskarżenie. Jest tak daleki od pesymizmu, że już widzi, jak nieuchronnie zbliża się logiczny koniec wszelkiej własności prywatnej, wynikający po prostu z intensyfikacji immanentnie w niej tkwiącego zła. Przedstawiciele klas posiadających muszą nie tylko stawić czoło uświadomionemu proletariatu, ale również walczyć między sobą. Tak. Walka, wojna, oto warunki istnienia własności prywatnej. Są nieuchronne. Ach! Nie polega na emocjach, żeby podtrzymywać swoją wiarę, nie potrzeba mu oświadczeń, złości, wizji rozwianych krwistoczerwonych sztandarów albo metaforycznie niesamowitych słońc zemsty, które wschodzą nad horyzontem skazanej na porażkę struktury społecznej. Nie on! Zimny rozsądek, chełpił się, oto podstawa jego optymizmu. Tak, optymizmu...

Wysilone rżenie apostoła na zwolnieniu warunkowym ustało, a potem, westchnąwszy raz czy dwa, Michaelis dodał:

– Nie sądzisz, że gdybym nie był takim optymistą, jakim jestem, to w ciągu tych piętnastu lat znalazłbym jakiś sposób, żeby poderżnąć sobie gardło? A w ostateczności zawsze zostawały mi ściany celi, o które mogłem roztrzaskać sobie łeb.

Krótki oddech pozbawiał jego głos całego ognia, ożywienia; wielkie, blade policzki Michaelisa zwisały niczym ciężkie sakwy, nieruchomo, bez jednego drgnięcia, ale w niebieskich oczach, przymrużonych, jak gdyby się czemuś przyglądał, pojawił się ten sam, nieco szalony w swej niewzruszoności wyraz pewnego siebie cwaniactwa, jaki musiał w nich widnieć, kiedy ów niezłomny optymista siedział w więziennej celi, oddając się rozmyślaniom. Yundt wciąż stał przed nim z połą wyblakłego zielonkawego haweloka przerzuconą na kawaleryjską modłę przez ramię. Siedzący przed kominkiem towarzyszy Ossipon, były student medycyny, główny autor broszur P.P., wyciągnął silne nogi, żeby przysunąć podeszwy w stronę blasku w kominku. Kępa kędzierzawych blond włosów wieńczyła czerwoną, piegowaną twarz o przypłaszczonym nosie i wydatnych, nieco murzyńskich wargach. Migdałowego kształtu oczy Ossipona popatrywały wokoło znad wysokich kości policzkowych sennie i lisowato. Miał na sobie szarą flanelową koszulę, a luźne końce krawata z czarnego jedwabiu zwisały mu na piersi pod zapiętym na guziki surdudem z serży. Głowę złożył na oparciu fotela, odsłaniając prawie całą szyję, i podnosił do ust papierosa w długiej drewnianej fifce, po czym puszczał strumienie dymu prosto w sufit.

Przedstawiał dalej swą najważniejszą koncepcję – zrodzoną w odosobnieniu, myśl łaskawie powierzoną jego niewoli i rosnącą w proroczych wizjach na podobieństwo wiary objawionej. Mówił sam do siebie, nie zważając na życzliwość i wrogość słuchaczy, a nawet na ich obecność, ponieważ przywykł myśleć głośno i z nadzieją w samotności czterech pobie-

lonych ścian lochu, w grobowej ciszy wielkiej, ślepej sterty cegieł nad rzeką, złowrogiej i brzydkiej jak monumentalna kostnica dla społecznych topielców.

Nie przynosił pożytku w dyskusji nie dlatego, by nawet największa liczba argumentów mogła zachwiać jego wiarą, ale po prostu dlatego, że gdy tylko słyszał cudzy głos, natychmiast popadał w bolesną konsternację i mieszały mu się myśli – te same, których w intelektualnej samotności, bardziej jałowej niż bezwodna pustynia, ani jeden żywy głos nigdy nie kwestionował, nie komentował i nie aprobował przez wiele długich lat.

Nie przerywano mu, toteż ponownie wygłosił wyznanie wiary, opanowujące go nieodparcie i całkowicie na kształt aktu łaski: tajemnica przeznaczenia odsłania się w materialnej stronie życia, gospodarka światowa odpowiada za przeszłość i kształtuje przyszłość, a źródło historii powszechnej i wszystkich idei kieruje rozwojem intelektualnym rodzaju ludzkiego, w tym nawet impulsami jego namiętności...

Nieprzyjemny śmiech towarzysza Ossipona przeciął tę tyradę jak nożem, apostoła zawiódł nagle język, a spojrzenie jego nieznacznie uniesionych oczu stało się zmieszane i niepewne. Zamknął je powoli na chwilę, pragnąc zapewne zebrać rozproszone myśli. Zapadła cisza. Paliły się dwie lampy gazowe nad stołem i ogień w kominku, więc w saloniku za sklepem pana Verloca zrobiło się strasznie gorąco. Gospodarz, wstając z kanapy z ociężałą niechęcią, otworzył drzwi do kuchni, by wpuścić więcej powietrza, i w ten sposób ujawnił obecność prostodusznego Steviego, który siedział bardzo grzecznie i cicho przy stoliku z jasnego drewna, rysując kółka, kółka i kółka, niezliczone, współśrodkowe i mimośrodkowe, migotliwy wir kręgów, który przez splątaną mnogość powtarzających się krzywizn, jednolitość formy i bezład przecinających się linii przypominał jakby kosmiczny chaos, symbolikę jakiejś szalonej sztuki, próbującej przedstawić to,

co niepojęte. Artysta nawet nie odwrócił głowy – z całej duszy skupił się na robocie, drżały mu plecy i wydawało się, że jego cienka szyja, zanurzona w głębokim dołku u podstawy czaszki, pęknie lada chwila.

Pan Verloc wydawszy stęknienie, które znamionowało niechętnie zaskoczenie, powrócił na kanapę. Alexander Ossipon wstał. Był w wytartym niebieskim surducie z serży; pod niskim sufitem wydawał się wysoki. Rozprostował członki, zeszytywniał bowiem wskutek długiego bezruchu, i udał się do kuchni (dwa stopnie w dół), by zajrzeć Steviemu przez ramię. Po powrocie oświadczył tonem wyroczni:

– Bardzo dobre. Bardzo charakterystyczne, całkowicie typowe.

– Co jest takie dobre? – wystękał pytająco pan Verloc, już znowu usadowiony w kącie kanapy. Ossipon z nutą protekcyjności w głosie wyjaśnił pobłażliwie, o co mu chodziło, wskazując kuchnię ruchem głowy:

– Typowe dla tej formy degeneracji... Mam na myśli ry-sunki.

– Uważasz więc tego chłopca za nienormalnego, tak? – mruknął pan Verloc.

Towarzysz Alexander Ossipon – noszący przydomek „Doktor”, najpierw student medycyny bez dyplomu, następnie wędrowny wykładowca w stowarzyszeniach robotniczych, wygłaszający odczyty na temat higieny w aspekcie socjalizmu, autor popularnego quasi-medycznego studium (w formie taniej broszury, z miejsca skonfiskowanej przez policję), zatytułowanego *Destrukcyjne nałogi klasy średniej*, specjalny delegat nieco tajemniczego Czerwonego Komitetu, wyznaczony razem z Karlem Yundtem i Michaelisem do pracy na polu propagandy literackiej – zwrócił na skromnego zausznika co najmniej dwóch ambasad spojrzenie pełne nieznośnej, beznadziejnie tępej buty, której zwykły, ograniczony zjadacz chleba może nabyć jedynie przez obznajomienie z nauką.